

## Sprawa poety

Lublin - zacy gród z XII w., miasto pieczętujące się frywolnym kozłem, objadającym szcep winnej łoży.

Miejsce moich lat szkolnych, rozciągające się od błotnistej rzeki Bystrzycy - po gliniaste przedmieście Rury, od wyniosłego zamku, zniechlujonego więzieniem, - po bzami pachnący ogród Saski, od smrodliwej dzielnicy żydowskiej, zamkniętej w najpiękniejszych murach starego miasta, - po kopulasty sobór przy pomniku Unji, w sąsiedztwie rudego, jak zsiadła krew, klasztoru kapucynów, gdzie odprawiały się wówczas niedzielne msze szkolne.

Nie wiem jak dla kogo, ale dla mnie poezja zaczęła się właśnie w Lublinie.

A zaczęła się od sztubackich tajnych zebrań w zakonspirowanych mieszkaniach, przesiąkniętych naftaliną i atramentem. W mieszkaniach z włóczkowymi patarfkami pod przezornie przyćmioną lampą, z oleodrukowymi trzema wieszczami na ścianie, ze zbiorkiem polskich pieśni ukrytym pod stosem etiud na palisandrowym rozstrojonym fortepianie, z rozczytanymi na luźne kartki egzemplarzami „Wesela”, „Wyzwolenia” ...

...Gubiły się te luźne kartki, nie ginęły słowa.

Bo nie wiem jak dla kogo, ale dla mnie i Polska zaczęła się w Lublinie.

To tam właśnie co roku śnieg na grobie chłopskiego spiskowca, księdza Ściegiennego, pokrywał się jedwabiem amarantowej szarfy, którą, ukrytą na piersiach pod uczniowskim paltem, w śmiertelnej trwodze i z na wszystko gotową odwagą, przenosiło się w późną noc przez mur cmentarny.

O burym świecie między żelaznymi krzyżami, przez kamienne płyty, po zwarzonych mrozem bluszczach i barwinkach, tropem naszych nocnych śladów sunął szpicel i zdierał z grobu świerkowe wieńce, związane czerwoną szarfą. Mokry śnieg na grobie zdążył już jednak nasiąknąć czerwienią, i ludzie, którzy polem, za dnia, przychodzili chyłkiem na to miejsce, widzieli zdaleka smugę czerwoną, jawną i groźną.

To tam na potajemnych wycieczkach harcerek sygnalizowało się chustkami do nosa, nawleczonemi na kolczaste pędy, zerwane z krzaku dzikiej róży w Zimnych Dołach, ogłaszając alfabetem Morsego dookolnym kartofliskom i jałowym kamionkom:

*- Dla nas nie ma róż;  
my jak ptacy na wędrownice,  
dziś tu, jutro na placówce -  
może staniem już -*

I tam, niedługo potem, sprzedawało się szkolne książki na kupno rewolweru dla kolegów, którzy uciekali ze sztuby do Legionów. A także, w przedsionku hotelu Victoria, wśród pensjonarskich dygów, blednąc ze wzruszenia, wręczało się „dla naszych żołnierzy” samemu Obywatelowi Komendantowi wiązaną białego bzu z garścią wsuniętych wstydlawie koronówek, na które złożyły się dni wcale porządnego głodowania.

Aż wreszcie tam, pierwszymi słowami niepodległej Polski przemówił Tymczasowy Rząd Ludowy z ukwieconego balkonu pałacu generał-gubernatora, wśród niemilkających okrzyków radosnego tłumu, rozbrajającego okupantów:

wolność!

Więc także tam w огоłoconych z najpotrzebniejszych sprzętów, nieopalonych i źle oświetlonych izbach, pofajerantowi słuchacze Uniwersytetu Ludowego, niedoszorowani z fabrycznych smarów mężczyźni i baby dziecięte, pisali narobionymi, sztywnymi jak kołki palcami, z wielkim trudem i największą gorliwością w zakleksanym dziecinnym zeszycie:

- a-je-śli-li-ko-mu-dro-ga-ot-war-ta-do-nie-ba-tym-co-słu-żą-oj-czyżnie -

Ale także tam, w rychło otwartej szkole klasztornej sióstr urszulanek, modlących się z pokorą do świętego Ciesli, jedną z uczen[n]ic posadzono w klasie na osobnej ławce, gdyż ojciec jej był... stolarzem, podczas gdy reszta wychowanek pochodziła z dobrych rodzin: mieszczańskich i ziemiańskich.

Każde miasto ma swoją legendę.

Więc może i nie dziwne jest, że cudowny Chrystus, przeniesiony z sali sądowej do pobliskiej katedry, wciąż jeszcze odwraca swą twarz boleśnie zawstydzoną: sąd na ratuszu, podczas którego djabli w obliczu Ukrzyżowanego okazali się sprawiedliwsi od chrześcijańskich sędziów, odbył się już dawno. Został jednak do dziś swąd spalenizny, unoszący się ze śladu ręki djabelskiej, któryto ślad można oglądać wypalony na dębowych deskach owego sędziowskiego stołu.

Cóż po śladach legendy, choć dotykalne?

Na obskurnych przedmieściach wyrosły, słyszę, nowoczesne domy dla wojskowych i urzędników. Na zamku, służącym wciąż za więzienie, odrestaurowuje się z pietyzmem zabytkową kaplicę. Znikł kopulasty sobór, a płyta grobowa, na którą tylko ukradkiem po nocy kłaść było można skąpe amarantowe wstążki, rozrosła się w piękne pomniki, u których stóp o jasnym dniu, w szczęśliwym poczuciu godności obywatelskiej, składa się uroczyste oficjalne wieńce.

... na Zimnych Dołach kwitnął dalej kolczaste dzikie róże, ale liczne drużyny harcerskie, doskonale wyekwipowane jeżdżą już na jamboree. I nie trzeba sprzedawać szkolnych podręczników na kupno starego rewolweru - każdy odslugujący obowiązkową służbę wojskową młody obywatel dostaje własny karabin z odpowiednią ilością naboju.

... Słowa trzech wieszczów, patrzących dalej ze ścian oleodrukowemi twarzami, stały się ciałem i stały się krwią, ażeby znowu wsiąknąć w papier i w dni powszednie tkwić pod numerem katalogowym w bibliotece polonistycznej a w dni uroczystościowe padać ze sceny miejskiego teatru na ciasną widownię - i nie przekraczać teatralnych kulis.

A czymże były owe minione lata karmienia się zabronioną wówczas i prześladowaną wielką poezją? Czem były lata pracy konspiracyjnej, z tej poezji wyrosłej?

Były zajadłą, namiętą walką o rzeczywisty grunt pod rzeczywistą budową.

I czymże wreszcie skończyła się walka „rozumnych szaleń”? Skończyła się zwycięstwem i radością z „odzyskanego śmietnika”, o którym myśli się kojąco myślą, „że nic bez niego niemasz”!

Ta radość z realnego posiadania tego samego wreszcie co oddawna posiadali inni, pewność, że właśnie najbardziej skrzydlate, najgłębiej natchnione słowa poezji służyły do odzyskania tego co się odzyskało (czy nie wołała wówczas poezja w ostatnim wówczas swoim słowie: „A ja chcę tego co jest wszędzie... I tego co jest, co jest, tak jak jest!”?) - wzbudziły i utrwaliły przekonanie, że to „co jest” przyjmować w siebie należy w całości, bez rozgryzania, jak hostję.

Dotknąć - świętokradztwo, Uprzątać - niszczenie. Pragnąć więcej - zdrada.

Cóż jednak począć jeśli poezja z natury swej jest także i tem co zawsze dotyka rzeczy najwstydliviej skrywanych, co uprząta niepotrzebnie narosłe i te co zmurszały, co - gdy już osiągnie „co jest” - pragnie i tęskni do tego czego „jeszcze niema”?

Zmienić jej przyrodzona naturę? Tego nie da się zrobić. Osądzić ją za bluźnierstwo, obrazę moralności publicznej, podburzanie do obalenia istniejącego ustroju społecznego i - skazać na dwa lata więzienia, - owszem, to można.

Osądzono w Lublinie i skazano poetę, autora zbioru wierszy „O czerwonej krwi”, Józefa Łobodowskiego\*

Rozprawa sądowa była tajna, i nic tu o jej przebiegu powiedzieć nie można. Nie można przytoczyć umotywowania zarzucanych poecie przestępstw. Nie można zacytować

---

\* Józef Łobodowski, młody poeta z Lublina, oskarżony o obrazę moralności publicznej, podburzanie do obalenia istniejącego ustroju społecznego i bluźnierstwo przeciwko Bogu, skazany został przez sąd okręgowy w Lublinie na dwa lata więzienia, z zawieszeniem kary na lat trzy. Książkę jego, zbiór poezyj, p. t. „O czerwonej krwi”, skonfiskowano. Naskutek apelacji prokuratora sąd apelacyjny w Lublinie uchylił zawieszenie kary i wyrok dwu lat więzienia zatwierdził. Wreszcie sprawa droga kasacji znalazła się w Sądzie Najwyższym w Warszawie. Dn. 18 września b. r. Sąd najwyższy pod przewodnictwem prezesa Leona Supińskiego, po wysłuchaniu wywodów obrońcy, adwokata Emila Brettera, skasował wyrok lubelskiego sądu apelacyjnego i postanowił przekazać sprawę celem ponownego rozpatrzenia sądowi apelacyjnemu w stolicy.

skonfiskowanych wierszy.

Nie należy jednak przejść nad tem zdarzeniem w milczeniu, Nie jest to bowiem sprawa oskarżonego „mieszkańca miasta Lublina, Józefa Łobodowskiego, syna Władysława, lat 23”, ale jest to sprawa poety, jest to sprawa wszystkich poetów, sprawa Poezji - ponieważ Poezję właśnie postawiono w lubelskim sądzie w stan oskarżenia, osądzono ją i skazano.

Gdyby w sposób praktykowany dziś w urzędach cenzury chciano odbezbznić, umoralnić i ułagodzić Mickiewicza, Słowackiego, Żeromskiego, Kasprowicza - wiele kart czcigodnych ksiąg byłoby poplamionych pustemi, białemi miejscami.

Jakże się mają bronić poeci dziś żyjący?

Więc, ze przywilej wolności słowa nie jest przywilejem poetów, ale niezaprzeczalną koniecznością ich twórczości i - obowiązkiem, sądzę, iż dobrze byłoby, na tem miejscu przynajmniej, usłyszeć obronę Poezji, wygłoszoną w izbie kasacyjnej Sądu Najwyższego w Warszawie, przy drzwiach zamkniętych.

Łamy literackiego pisma mogą i muszą być dla tej sprawy otwarte.